

Historia do wielokrotnego oglądania - rozmowa z Piotrem Trzaskalskim

Bogdan Sobieszek: Wracasz właśnie z rozmowy ze sponsorem. Chodzenie po prośbie to normalne zajęcie reżysera ze sporym dorobkiem filmowym?

Piotr Trzaskalski: To jest wręcz rutyna. Dotacje Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej nie pokrywają nawet połowy budżetu taniego filmu, jaki chcemy nakręcić. Aplikowaliśmy o pięć milionów, dostaliśmy dwa. Trzeba więc ładnie się ubrać, uśmiechać i pójść do ludzi, którzy mają pieniądze i są zainteresowani przeznaczeniem części z nich na kulturę. To się staje częścią tego zawodu.

A producent?

Producent chodzi ze mną. To akurat są moje łódzkie kontakty, a Kuba Kosma, producent filmu, jest z Warszawy. Jako Łódzianinowi Roku, człowiekowi, który coś tam zrobił dla tego miasta, łatwiej mi nawiązać różne kontakty mogące zaowocować dotacją. Mamy opiekę Hanny Zdanowskiej, miasto nam pomaga, chce tego filmu, bo on je promuje. Łódź jest bohaterem mojego filmu tak samo ważnym jak ludzie. Jako twórca czuję się tu chciany. To jest bardzo miłe.

Więc może udałoby się uzyskać środki z budżetu promocji miasta? Dostaliście 300 tys. z Łódzkiego Funduszu Filmowego. To raczej skromne wsparcie, biorąc pod uwagę potrzeby.

Pani prezydent obiecała: spróbuję znaleźć jakieś pieniądze dla pana. Dzisiaj byliśmy w firmie Rossmann. Zastanowią się. Ale jesteśmy zdeterminowani. Postanowiłem zrobić film nawet za te dwa miliony trzysta, które mamy. Wyszło nam 19 dni zdjęciowych z 25, które planowaliśmy, myśląc bardzo niskobudżetowo o tym projekcie. Od kolegów z branży dowiaduję się, że za takie pieniądze się teraz robi. Możesz się obrazić albo ściąć scenariusz, uprościć go tak, żeby nie stracił na jakości. W moim wypadku udało się to zrobić bezkolizyjnie. Z Wojtkiem Lepianką zajęło nam to jeden wieczór.

Skąd taka determinacja?

Bardzo chciałem napisać scenariusz, który będzie mój. Udało mi się wyrwać Wojtka z jego zawodowej szachty przy serialach. Stworzyliśmy „Obiady domowe” – bardzo osobistą, ciekawą historię – tak, żeby dało się je opowiedzieć w Łodzi. Wrócić do starych przyjaciół – montażysty Czarka Kowalczuka, scenografa Wojtka Żogały, kompozytora Wojtka Lemańskiego. Chcę zrobić film z oddechem miasta, w którym się urodziłem.

W jakim momencie kariery jesteś, czym dla ciebie jest ten projekt?

To pierwszy od lat mój bardzo autorski film. Chciałbym w nim pokazać swoje myślenie o kinie, swoje tematy. To nie będzie produkcja obliczona na dwa miliony widzów. Ani artystyczne dzieło, które zostanie pokazane na dwóch festiwalach i koniec. Chciałbym blisko pogadać z ludźmi, nie myślę o nagrodach ani prestiżowych festiwalach, które skądinąd są zawsze przyjemną przygodą. Lubię żywą publiczność, nawet jeśli kino ustawia cię za szybą i gadasz do widza wirtualnego. Zrobiłem raczej niewiele filmów, ale jestem zadowolony z życia. Udać mi się coraz mniej przejmować rzeczami niezależnymi ode mnie. Buduję spokój od wewnątrz. Tu szukam ukojenia. Źródłem szczęścia nie mogą być nagrody, prestiż, a nawet bliscy. To wszystko bowiem zmienia się, jest ulotne. Musisz to źródło znaleźć w sobie albo będziesz... cierpieć.

A mnie się wydaje, że to bliscy dają nam szczęście, poczucie sensu. Dzięki nim mogę powiedzieć: mam dla kogo żyć.

To jest bardzo w porządku, twórcze i potrzebne. Chodzi jednak o to, że jeśli ich spotka nieszczęście,

to nie może ono zrujnować ciebie. Jeśli chcesz pomóc bliskiemu w nieszczęściu – synowi czy córce – musisz być jak lekarz. Czy lekarz współcierpi z chorym? Nie – bo wtedy nie będzie mu w stanie pomóc... Wtedy jesteś wolnym człowiekiem. Montaigne napisał: „Kto nauczył się nie bać śmierci, oduczył się służyć”. Na koniec dnia wszyscy umrzemy. Wobec takiej perspektywy robienie filmów staje się zaledwie częścią sztuki życia. Jeśli zrobię ten film, wspaniale. Jeśli go nie zrobię, wspaniale. Jeśli będzie przedmiotem kultu – wspaniale. Jeśli zostanie opluty przez krytykę – wspaniale. Trudno, to są opinie ludzi. Musisz przyjąć perspektywę, że od śmierci jesteś o krok już w momencie urodzenia. Dlatego – nie trać pogody ducha, ciesz się z tego, co już zrobiłeś. Gdy mam gorsze chwile, myślę o wojnie w Ukrainie, o prawdziwym cierpieniu tych ludzi... Teraz sobie rozmawiamy, nikt nie strzela. Dobrze jest zatem pamiętać o proporcjach.

Twoją drogę twórczą dzielę na dwa okresy: łódzki i warszawski. Najpierw realizowałeś autorskie pomysły („Edi” - 2002, „Mistrz” - 2005, „Mój rower” - 2012), za które otrzymałeś mnóstwo nagród i wyróżnień, a potem byłeś raczej człowiekiem do wynajęcia (seriale „Stulecie Winnych” - 2020 i „Matka” - 2023, filmy „Na chwilę, na zawsze” - 2022, „Nieobliczalna” - 2024) i tu nagród za dzieła brak. Z czego to wynika?

Jestem zadowolony ze swoich filmów, krytycy – różnie. Nie powiem, żeby mi było przyjemnie, gdy mnie ktoś miesza z błotem. Pracuję nad tym, żeby mieć dystans, ale jednak pierwsze kopnięcie w kostkę zawsze boli. W wypadku produkcji komercyjnych są trzy rodzaje nagród: albo publiczność dopisze i to będzie nagroda, albo krytycy dobrze napiszą i to będzie nagroda, albo dużo zarobię i to będzie nagroda. I z tych nagród trafiła do mnie jak na razie ta trzecia. Taki zawód.

Seriale dają życie reżyserom?

Pracujesz w niezłych warunkach, zwykle z elitą polskich aktorów, bo każda platforma chce mieć tych najlepszych. Ale musisz się godzić z tym, że jesteś jak w markecie na półce. Ktoś sięga, zjada i zapomina. Nie ma cię. O dobrym serialu ludzie pogadają trzy dni, a jego reżyser jest jak jętka jednodniówka. Godzisz się na taką anonimowość, ale dzięki temu budujesz dom, kupujesz dobry samochód. Aż tak dużo nie pracuję, żeby budować dom, ale wystarczy, żeby spokojnie żyć, czytać ciekawe książki, medytować, pomagać, jeśli ktoś potrzebuje pomocy. Mam za sobą kierat realizowania reklam (to moja trzecia działka filmowa). Robiłem czasem dwa projekty w tygodniu i myliły mi się shooting boardy – graficzne plany ujęć do zrealizowania. Wysyłałem je nie do tego studia. Wtedy wielu kolegów tak pracowało.

A może znudziło ci się bycie na półce w markecie i chciałeś wreszcie zrobić coś swojego, dlatego wymyśliłeś „Obiady domowe”?

Ta półka to nie nuda. To część pracy reżyserów na całym świecie. Niczym przyjemny sposób muzykowania. Kiedy grasz dla publiczności cudzy repertuar, ważne, żeby było ładnie i stylowo. To też trzeba umieć. Ale co jakiś czas odzywa się jednak silna potrzeba zrobienia filmu z własnego repertuaru. Nie jestem w stanie kręcić co rok czegoś wybitnego, fajnego, co by mnie satysfakcjonowało, nie mam takiego talentu, takiej łapy. Mogę jednak co jakiś czas stworzyć historię do „wielokrotnego oglądania”, do której ludzie wracają.

Jak do ciebie trafiła historia, która stała się podstawą scenariusza „Obiadów domowych”?

Usłyszałem tragiczną historię: ktoś stał się mimowolnym sprawcą śmierci bliskiego członka rodziny, u mnie – wnuczki. To był straszliwy cios dla całej struktury, jaką jest rodzina. Naraz sypie się wszystko, wszystkie relacje. Wydało mi się to ciekawe nie dlatego, że pisały o tym tabloidy, ale dlatego, że to dzieje się tuż obok, a nie jest takie oczywiste jak przemoc domowa. Niesie jednak ze sobą ogromną dawkę dramatu. Pokazuję w filmie, jak główna bohaterka z tego wychodzi, kto i co jej pomaga... by na powrót w siebie uwierzyć i żyć dalej. Pchać wózek...

Właściwie wszystkie twoje filmy opowiadają o rodzinie. Co z nią jest nie tak?

Nigdy o tym tak nie pomyślałem. Ciekawe. Może dlatego, że każde zło lub dobro, jakie dzieje się na świecie, zostaje „wymyślone” w rodzinie? Jako dzieci nie mamy innej możliwości niż obserwowanie mamy i taty lub kolegów. Wszystko, co nam pokazują, staje się naszym modus vivendi. Żeby się z tego świadomie wyzwolić, ludzie chodzą na terapię. Ale te terapie często nie działają. Rodzina jest punktem wyjścia wszystkich naszych dobrych i złych nawyków, naszą widzialną karmą. I chyba moje kino jest próbą opowiedzenia tego. Zobaczcie, co się dzieje, kiedy zaczyna się sypać rodzina. Ludzie niszczą siebie lub umierają i bezradnym w obliczu cierpienia bliskim zostawiają po sobie niezaleczone rany. Nikt nie dostaje ani w rodzinie, ani w szkole instrukcji obsługi, jak żyć, jak umierać, jak być dobrym.

Co w realizacji „Obiadów domowych” będzie największym wyzwaniem? Zdobycie pieniędzy? Obsada?

Pieniądze nie są najważniejsze, ale po raz pierwszy urządzam tak szeroko zakrojoną „kwestę” na film. W „Obiadach domowych” znajdą się rzeczy, których w kinie z nieznanego mi powodu od jakiegoś czasu się nie robi. Jest tu sporo scen będących wizjami sennymi bohaterki – dających pewien dostęp do jej świata od wewnątrz, bezpośrednio, bez dialogu i innych filmowych podpowiedzi. Nie wiem, jak przyjmie to współczesny widz. To jest realistyczna historia, która się w pewnych momentach ciekawie „rozjeżdża”. Czy to, co widz zobaczył, było naprawdę, czy był to sen głównej bohaterki? Trochę zmęczony jestem faktem (i chyba widownia powoli także), że świadomością autorów filmowych powszechnie zawładnęła struktura amerykańskich scenariuszy środka. Scenariusz musi być dobrze napisany, co znaczy, że widz nie ma prawa się pogubić... Mój film jest nieserialowy, ma inne rozwiązania dramaturgiczne. Pod tym względem stanowi ryzyko. Ale to nie znaczy, że będzie nudny czy ezoteryczny. Mówiłem – zależy mi na rozmowie z widzem, a nie na monologu...

Jaką funkcję pełnią senne wizje bohaterki?

Pokazują, że bohaterka jest wewnętrznie rozregulowana, że to, co przeszła, wpływa na jej świadomość. Nie widzi już świata tak jak dawniej. W mętny sposób wraca do niej przeszłość. Pojawia się pewna postać, której proveniencję widz będzie musiał sam ustalić. Bardzo lubię prozę Haruki Murakamiego, który pisze tak, że to ja decyduję, w co wierzę, gdzie jest prawda. Bo o prawdę tu chodzi przede wszystkim. Chciałbym więc przywrócić coś, co kiedyś było jednym z elementów języka kina. I to może być dla mnie poważnym wyzwaniem. Druga rzecz, na której mi zależy, to pozbyć się realizmu w grze aktora. Fascynuje mnie to, co robił Marlon Brando. Czy on jest realistyczny w „Ojcu chrzestnym”? Nie, on jest prawdziwy... W moim filmie chciałbym wypracować z aktorami taką metodę, żeby nie grali realizmu, ale jego „destylat” – prawdę.

Chcesz, żeby zagrali u ciebie Agata Kulesza i Andrzej Chyra. To chyba będzie kolejne wyzwanie.

Taki był plan i pierwsze ustalenia. Zobaczmy, co z tego wyjdzie. O obsadzie w tym kraju decydują dwie rzeczy. Po pierwsze zajętość. Najlepsi mają tak wypełniony kalendarz, że nie zdziwiłbym się, gdyby stracili orientację, w jakim projekcie aktualnie uczestniczą – to oczywiście żart. Poza tym istotną kwestią są stawki, a nasz film to niskobudżetowa produkcja. Nie znaczy to, że aktorki i aktorzy są pazerni. Nie są, ale mają swoich agentów i agentki, pracują w określonej dyscyplinie finansowej i środowiskowej. Więc pewnie trzeba będzie, tak jak w „Edim”, podeprzeć się kimś nieznanym lub zapomnianym, albo naturszczykiem, albo zatrudnić aktora zaprzyjaźnionego, namówić młodych ludzi, którzy zaczynają. Jestem gotowy na każdy wariant.

Mówisz, że kochasz Łódź, ale dawno temu wyjechałeś z tego miasta.

Zrobiłem to z prostego powodu: zakochałem się w dziewczynie, która pracowała w Warszawie, mieszkała w Grodzisku, a rodzinę miała w Radzyminie. Przeniosłem się do Warszawy, żeby być bliżej roboty i bliżej miłości. Ale Łódź wciąż mam głęboko w sercu. Ilekroć tutaj przyjeżdżam, muszę

bardzo uważać, żeby mi się nie pootwierały niewłaściwe klapy minionych szaleństw, że tak powiem... Ogromny sentyment budzą we mnie te miejsca, gdzie były kiedyś kina: Bałtyk, Polonia, Iwanowo, Wisła, Oka czy Roma przy Rzgowskiej i Paderewskiego – kino mojego dzieciństwa. Ale widzę też to, co w Łodzi nowoczesne i piękne, pchające to miasto ku Europie i aż mnie zatyka ze zdziwienia i podziwu.

Jaką Łódź pokażesz w filmie? Taką jak w „Edim”, czy lepszą?

Niektóre lokacje są tak wymyślane, że muszą to być na przykład ruiny fabryki lub czworobok kamienic do rozbiórki. Ale będzie też Piotrkowska, Moniuszki, Pasaż Schillera i ta nowa piękna Łódź. Gdyby udało się zrobić dobry film i ludzie by go oglądali, fajnie byłoby pokazać Łódź, która ma jeszcze parę „blizn”, ale jest miastem idącym do przodu. Do świata.

Wywiad ukazał się w "Kalejdoskopie" 09/26.